

KRYTYKA LEKARSKA

Wychodzi w d. 1 każdego miesiąca.



Rok czwarty.

→ 8 ←

d. 1 Sierpnia 1900 r.



PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie: rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2;
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50.

WARSZAWA.

Druk Władysława Łazarskiego.

Danilowiczowska 6.

—
1900.

TREŚĆ:

Prof. Wachholz. Krytyczne uwagi w sprawie uranicznego pocucia płciowego (dokończ.). —
OCENY: *Dr. J. Peszke.* O najnowszym słownictwie anatomicznem naszym (ciąg dalszy). — *Fr. Grodecki.*
Sposoby przepisywania leków in praxi pauperum d-ra St-rlinga — Z pamiętników prof. Szokalskiego (ciąg dalszy). — Polemika. — *St. Elwicz.* O nasz byt.

KRYTYKA LEKARSKA

Dr. Ig. Barano

Dr. Ig. Baranows

Dr. Ig. Barano

KRYTYCZNE UWAGI

W SPRAWIE URANICZNEGO POCZUCIA PŁCIOWEGO.

Zestawił Prof. Dr. Leon Wachholz.

(Dokończenie).

Oświadczenie się Griesingera za potrzebą badania stanu umysłowego osób obwinionych o obcowanie homoseksualne przyjęło się dość ogólnie, to też zdarza się nieraz rzeczoznawcy sądowemu podobne badanie. Atoli wynik tego badania bywa często o tyle ujemnym, o ile oprócz homoseksualnego popędu żadnych zresztą innych objawów zбочenia umysłowego nie wykazuje. Zdania zaś autorów na sprawę poczytalności homoseksualnych są podzielone. I tak uważa Cramer ¹⁾ sam homoseksualny popęd, dopóki mu nie towarzyszą inne objawy umysłowe, za niepatologiczny, tem samem za niewykluczający poczytalności Siemerling uważa wprawdzie ten popęd za znamię patologiczne, godzi się jednak w zapatrywaniu na sprawę poczytalności urningów z Cramerem. Kirn, przyjmując u homoseksualnych ograniczenie zdolności objawiania wolnej woli, radby u nich przyjąć zmniejszoną poczytalność. Podobne zdanie objawia prawnik Jaris ²⁾ Tamassia ³⁾ zaś, podnosząc słusznie, że własne „ja“ urningów popada w sprzeczność i w walkę z samem sobą, która niweczy równowagę umysłową, uważa urningów za niepoczytalnych. Tegoż samego zdania są między innymi Schäfer ⁴⁾, i Moll ⁵⁾. Moll mniema, że zachodzący u urningów niestosunek między psychicznem poczuciem płciowem a ich narządami płciowymi jest już sam przez się wybitnym objawem patologicznym, objawem zwyrodnienia, którego inne znamiona mogą do czasu pozostać ukryte. Jeżeli Hirsch uważa obie nogi zbyt długie lub zbyt krótkie za niepatologiczne, atoli

¹⁾ Gerichtliche Psychiatrie. Jena 1897.

²⁾ Zeitschr. für die gesammte Strafrechtswissensch. 1893, T. 12

³⁾ Rivista sperim. di freniatria, T. IV. Str. 97.

⁴⁾ Viertjschr. f. gericht. Medicin. 1899 Z. 2.

⁵⁾ I. e. T. I. Część II.

Arnc 206/53/39

jedną nogę krótszą od drugiej za znamię chorobowe, a ich właściciela za chorego, to zdaniem Molla usprawiedliwionem jest przekonanie, że mężczyzna, z prawidłowo rozwiniętymi częściami płciowymi a uranicznym popędem płciowym, jest również chorym, choćby nawet inne objawy chorobowe u niego nie istniały. Wprawdzie można przy zbiorze kilku lub więcej przypadków chorobowych łatwiej ocenić jakikolwiek bądź stan patologiczny, jednak do jego rozpoznania powinien i musi wystarczyć nawet jeden objaw, w przeciwnym bowiem razie trzebaby, zdaniem Molla, przyznać zupełnie słuszność tym, którzyby przy istnieniu kilku, np. pięciu objawów, domagali się w celu rozpoznania pewnej choroby nie pięciu, lecz sześciu i większej jeszcze liczby objawów. Ocena Sądowo-lekarska stanu umysłowego w kierunku poczytalności należy bezsprzecznie do najtrudniejszych i do najbardziej odpowiedzialnych zadań lekarskich, albowiem, jak słusznie mówi Drioux ¹⁾. „la pathologie mentale n'est encore qu'un art; par son incertitude même elle offre des dangers“. Niebezpieczeństwa, wynikające z niepewności samej nauki, mogą w ocenie sądowo-lekarskiej objawić się w dwojakim kierunku: albo w zbyt pochopnem oświadczeniu się za niepoczytalnością, albo w równie skorem oświadczeniu się za poczytalnością. Jeżeli pierwsze z nich jest niewłaściwe i niedobre, bo przyczynia się do bezkarności złego, to drugie jest jeszcze fatalniejszym, bo ściąga karę na człowieka chorego, który nie działał świadomie lub z wolną wolą. Ponieważ zaś zasada sądowo-lekarska głosi *in dubiis mitius*, względnie *pro reo*, przeto znawca odpowie najzupełniej swemu zadaniu, jeśli, oceniając stan umysłowy urninga, oświadczy sędziemu, że czyny badanego, t. j. zaspakajanie popędu płciowego w sposób homoseksualny, wynikają z chorobowego zaburzenia jego władz umysłowych, w myśl którego nie jest on w stanie własną wolą popędu swego opanować. Jasnem jest, że orzeczenie takie może dotyczyć tylko stanu umysłowego urninga a nie człowieka o heteroseksualnym popędzie, który się np. dla zarobku oddaje praktykom homoseksualnym. Z tego założenia wychodząc, mogłem z zupełnym spokojem sumienia przedstawić wydziałowi lekarskiemu, jako jego referent do spraw sądowych, orzeczenie, wykluczające poczytalność u pewnego urninga, u którego zresztą istniały inne jeszcze znamiona zwyrodnienia. Urning ten pochodził z rodziny psychopatycznej, w której, między innymi, dwie jego ciotki zakończyły życie samobójstwem. Od 7 roku życia oddawał się samogwałtowi, okazywał stale niechęć do nauki i pracy, pamięć miał zawsze słabą, to też zakończył swe studia mimo wszechstronnej pomocy na 3 klasie gimnazjalnej w 16 roku swego życia. Od wczesnych lat cierpiał na połowiczne bóle głowy, później dołączyły się

¹⁾ Étude sur les expertises médico-légales et l'instruction criminelle. Paryż, 1886.

okresowe napady chwilowej utraty przytomności, w czasie których siniał i padał bez ruchu na ziemię (napady padaczkowate). Doznawszy dwukrotnie urazu w głowę, raz wskutek wypadnięcia z dorożki na bruk uliczny, drugi raz wskutek cięcia palaszem w pojedynku i nabawiwszy się wśród wybryków in Venere przymiotu, zapadł jeszcze ciężiej na zdrowiu, albowiem pod wpływem powyższych czynników i niejednokrotnych zbyt obfitych libacyi, umysł jego znacznie się przytępił, nastrój stał się bez przyczyny zmiennym, a w członkach kończyn wystąpiło drżenie. W tymże czasie ujawnił się u niego w całej sile hamowany dotąd popęd homoseksualny, który zaspakajał zwykle z swą mężką służbą, skłaniając ją do wzajemnej onanii, lub podejmując na nich coitus inter crura, względnie wprowadzając membrum suum in os servi. W tym ostatnim razie przyobiecował osobne nagrody pieniężne za polknięcie spermae ejaculatae. Stosunki te były zawsze poprzedzane pieścizotami, wśród których drugą stronę całował i jej wywzajemniać się nakazywał. Bawiąc zaś w zagranicznej stolicy, począł uprawiać szczególniejszego rodzaju nierząd, który na tem polegał, że wynajmował niemowlęta od kobiet trudniących się ich karmieniem (fabrykantki aniołków), a gdy poczęły kwilić z powodu głodu, wprowadzał im in os membrum suum. Mimo wzgardy bliższego swego otoczenia chlubił się swem zbroczeniem; żyjąc hulaszczo, strwonił znaczny swój majątek, poczem krzywdził swą rodzinę, fałszując podpisy na wekslach. Badanie wykazało u niego pod względem fizycznym tremor rąk, bliznę na skroni prawej (po cięciu palaszem), prawidłowy rozwój części płciowych, mierną tuszę, nader silny rozwój sutków, zbliżonych wejrzaniem do kobiecych, zaokrąglone niemal niewieście kształty ciała i bardzo skąpy zarost twarzy. Pod względem umysłowym stwierdzono przytępienie umysłu oraz objawy neurastenii. W uwzględnieniu dziedzicznego obciążenia, przebytej kily i dwukrotnego urazu w głowę, oświadczył się wydział lekarski za niepoczytalnością badanego odnośnie do zarzuconych mu czynów, objętych ustawowym terminem nierządu przeciwnego naturze.

Na ogłędność sądowo-lekarskiej oceny stanu umysłowego urninga w kierunku poczytalności powinno wpływać doświadczenie, które pouczyło, że popęd homoseksualny objawia się zwykle z wielką siłą i że zarazem urning nie ma przeświadczenia o przewrotności swego popędu. Krafft—Ebing ¹⁾, wyraża się: „choć jego pożądliwość płciowa jest ze stanowiska estetycznego w najwyższym stopniu wstrętną, z punktu jego chorobowego widzenia jest ona naturalną. Przytem u przeważnej liczby tych nieszczęśliwych objawia się przewrotny popęd płciowy z nadmierną siłą a świadomość nie uważa go za coś przeciwnego naturze. Dla-

¹⁾ Psychopatia sexualis. 1892 str. 409.

tego brak im moralnej i estetycznej przeciwwagi do pokonania popędu.“ W podobny sposób nieco innemi słowami wypowiada swe zapatrywanie Jaris. Natomiast A. Hoche nie godzi się z nimi i oświadcza wręcz, że każdy urning, zresztą na umyśle zdrowy, może się swemu popędowi oprzeć. Nie przeczę, że raz, drugi a nawet dziesiąty może się urningowi udać powstrzymanie czy stłumienie popędu płciowego tak, jak to ostatecznie jest możliwem u człowieka heteroseksualnego; jednak uda mu się opanować swój popęd tylko na to, aby w myśl zdania „*naturam expellas furca, tamen usque recurret*“ ze zdwojoną już i nie przepartą siłą ponownie się odezwał. Wszakże gdyby w prawidłowych warunkach dał się popęd płciowy stale opanować i powstrzymać, przestałby być popędem. Do szczytu naiwności dochodzi Grabowski ¹⁾ w swej radzie, jakiej nie szczędzi urningom, aby się stale wstrzymywali od stosunków płciowych. Dla czego Grabowski rady nie zwraca także ku osobom heteroseksualnym? Czyżby nabrał przekonania, że łatwiej się Urningowi, zatem bądźco bądź człowiekowi wyjątkowemu, jeśli już nie nieprawidłowemu powstrzymać od stosunku płciowego, niż człowiekowi z prawidłowym popędem płciowym? a zresztą w imię czego miałyby się urning (gdyby mógł) rzekać dobrowolnie prawa do miłości i do korzyści z niej płynących, czy tylko w imię tego, że bez jego winy sama przyroda spaczyła kierunek jego popędu płciowego? Moll zaleca, w odpowiedzi Grabowskiemu, całą jego publikację „przyjaciółom mimowolnego humoru“, natomiast Erkelens zapewnia, że to jego wezwanie „nie znajdzie posłuchu u urningów, gdyż właśnie oni tak są popędliwi i zmysłowi, popęd ich tak jest wybitnym, że urning odnosi ciężkie szkody na swem zdrowiu, jeśli popęd ten napotka na zapory.“

Nawiązując do końcowej uwagi Erkelensa, przechodzę do pytania, czy i o ile popęd homoseksualny zagraża interesom społeczeństwa. Otóż w tym względzie podnoszono ujemny wpływ stosunków homoseksualnych na zdrowotność, na poziom moralny i wreszcie na wzrost ludności. Co się tyczy wpływu na zdrowotność, to go od dawna ²⁾ przedstawiano przesadnie i niewłaściwie; że przesadnie, dość wymienić, iż obcowania homoseksualne wprowadzano w związek przyczynowy z gruźlicą płuc, wodną puchliną i t. d.; że niewłaściwie, wynika ztąd, iż istotne nerwowe zaburzenia u homoseksualnych odnoszono do zaspakajania przez nich uranicznego popędu a nie do właściwych przyczyn jak wstrzemięźliwości w życiu ich płciowem, nakazanem im przez bezwzględność ustawy lub do ustawicznej obawy, by nie paść ofiarą wyzysku lub co gorsze denuncyacji. Bardzo trafnie maluje Krafft-Ebing ³⁾ przykre położenie urninga „z jednej strony nadmiernie silny, przy zaspokojeniu dobroczynny i jako prawo

¹⁾ Die Geschlechtsliebe, der Fluch des Menschenthums und ihre Bekämpfung. Lipsk 1893;

²⁾ Dohrn: Zur Lehre von der Paederastie. Vierteljschr. f. ger. Med. 1855. T. 7.

³⁾ l. c. str. 409.

przyrody odczuwany popęd do płci własnej, — z drugiej strony zaś opinia publiczna, piętnująca ich działanie, zagrażająca im sromotną karą. Z jednej strony pełne udęczeń stany duszy aż do choroby umysłowej lub samobójstwa, a już co najmniej charactwa nerwowego, — z drugiej zaś strony hańba, utrata pozycji i. t. d.⁶ Sądzę, że zbyt daleko się rozchodzi nad bezpodstawnością pierwszego wrzekomo ujemnego wpływu. Doświadczenie uczy, że niektórzy homoseksualni mogą zaspokoić swój popęd płciowy tylko z osobami tej samej płci, które posiadają prawidłowy t. j. heteroseksualny popęd. Zachodzi tedy obawa, czy przez uwiedzenie nie mogłyby osoby heteroseksualne stać się homoseksualnymi. Gdyby obawa ta okazała się uzasadnioną, byłby wpływ urningów w istocie wielce szkodliwym. Tymczasem jednak nie ma w tym względzie ani jednego przykładu, któryby dowiódł zmiany raz obudzonego heteroseksualnego popędu na popęd homoseksualny zwłaszcza u osób dorosłych. Jeśli bowiem zdarzy się taki przypadek, to albo tyczy się człowieka o obojnaczym (psychiczne obojnactwo Krafft-Ebinga) a zatem o anormalnym popędzie płciowym, któryby także pod wpływem innych przygodnych warunków oddał się praktykom homoseksualnym, albo też tyczy się człowieka, oddającego się tym stosunkom wyłącznie dla zysku. Wpływ aktów homoseksualnych może i musi być szkodliwym tylko dla osób nieletnich, dla których jednak w równym stopniu szkodliwym musi być wpływ aktów heteroseksualnych, jako w jednym i drugim razie jeszcze przedwczesnych. Oprócz szkodliwych następstw dla zdrowia wpływają stosunki tak hetero jak i homoseksualne u osób nieletnich zgubnie na moralność, ile że osoby te, nie mając jeszcze dostatecznej świadomości i dość wyrobionej sily woli, łatwo poddają się za daleko idącym wybrykom płciowym. Wzgląd na wzrost ludności, teoretycznie uzasadniony, nie ma praktycznego znaczenia raz dlatego, że liczba urningów nie zdaje się być zastraszającą (Ulrichs ¹⁾ liczył jednego urninga na 500 prawidłowych mężczyzn), powtóre dlatego, że sama przyroda popęd ten stworzyła, a zatem musiała mieć w tem swój cel. Celem jej mogło być, jak to mniema Erkelens, skuteczne przeciwdziałanie możliwości przeludnienia. Zresztą gdyby nawet ujemny wpływ uranizmu na wzrost ludności dawał się bodaj w miernym stopniu odczuć, czyż nie donioślejszym w tym względzie jest ujemny wpływ tolerowanej przez społeczeństwo i państwa heteroseksualnej prostytucji, która nie tylko nie służy celowi płodzenia, lecz nawet, narażając obie strony na zakażenia weneryczne, niejednokrotnie pociąga za sobą trwałą niepłodność? Jaką zaś korzyść odniosłoby społeczeństwo z nałożonego na urningów przymusu podejmowania przez nich obcowania heteroseksualnych, wynika z ogólnych zasad nauki o dziedziczności; ze zwy-

¹⁾ Gladius furens. Kassel, 1868.

rodniałych rodziców powstawałoby jeszcze bardziej dziedzicznie obciążone potomstwo, któreby się stało raczej ciężarem niż pożytkiem dla społeczeństwa.

Jeżeli nie istnieją ustawy, któreby zabraniały pod karą oddawać się pozamałżeńskim stosunkom płciowym, podjętym za zgodą obu stron, posiadających stosowny wiek, bez obudzenia zgorszenia publicznego, jeśli nie ma ustaw, któreby karmiły różne wyuzdania płciowe, praktykowane między mężczyznami a kobietami (np. *paedicatio mulieris, coitus inter crura, inter mammas, cumnilinguus* i t. d.) nawet w obrębie związku małżeńskiego celem uniknięcia potomstwa, to dlategoż ma państwo potępiać i karać urningów za czyny, które w równych warunkach ani na włos nie są od poprzednich mniej moralne, a które nadto są wynikiem dopustu przyrody a nie rozmysłu lub wyuzdania. Dłaczegoby miały ustawy (pomijam tu wielką niesprawiedliwość niemieckiego kodeksu karnego, który zagroza karą tylko mężczyznom za ich praktyki homoseksualne, pozostawiając praktyki uraniczne kobiet wolnymi od kary) czynić różnicę między homo a heteroseksualnymi, potępiając pierwszych za to, że się poddają przyrodzonemu popędowi, tolerując u drugich wyuzdania, sprzeczne z celem wrodzonego im popędu, zwłaszcza, jeśli by pierwsi czynili to w granicach, które w myśl obowiązujących ustaw zapewniają zupełną bezkarność nawet wyuzdaniom heteroseksualnym. Feuerbach ¹⁾ twórca bawarskiego kodeksu karnego z r. 1813, w ten sposób motywuje uwolnienie od odpowiedzialności karnej obcowań homoseksualnych, którem kodeks się jego odznacza: „nikt nie obdarzy uznaniem i nie będzie uważał za dozwolone czarownictwa, sodomii, nierządu, nie-wiary, kacerstwa, bluźnierstwa i t. p. Jednak tego rodzaju rzeczy wykraczają poza sferę ustawodawstwa karnego, dopóki się z nimi nie łączy naruszenie praw państwa lub osób prywatnych.“ Tego samego zdania jest Delbrück ²⁾, który podziela je także na podstawie wyników dotychczasowych badań nad przyrodą popędu homoseksualnego. Słowa jego są nadto wymowne: „przeświadczenie, że się tu ma do czynienia z chorobami i często głęboko zakorzenionymi właściwościami, musi także przepisy (obecne ustawy) napiętnować jako niesprawiedliwą surowość. Odnosne osoby nie mogą wskutek swego zboczenia zaspakajać popędu płciowego inaczej jak w sposób przewrotny i dlatego domagają się homoseksualni nie bez słuszności, aby byli w obliczu prawa równouprawnieni z heteroseksualnymi... Tak więc należałoby pederastyę tylko wówczas karać, gdyby ona stała się powodem zgorszenia publicznego lub gdyby do jej podjęcia użyto uwiedzenia, nie zaś wtedy, gdy się ją podejmuje z obopólną dobrowolną zgodą, bez narażenia nie biorących

¹⁾ Bernhardt, *Der Uranismus*. Berlin 1882. Str. 7.

²⁾ *Gerichtliche Psychopathologie*. Lipsk 1897. str. 189.

udziału osób trzecich." Jeżeli w państwach, w których zniesiono przepisy ustawowe, karcące dobrowolne w zaciszu między dojrzałymi osobami podejmowane stosunki homoseksualne, nie wzrosła ich liczba i liczba urningów, a z drugiej strony, jeśli ustawy nie zdolne były tej skazy wykorzystać w państwach, w których obowiązują, toć chyba trzeba przyznać, że te przepisy ustawowe nie mają innego celu jak tylko pogłębiać nie-
szczęsną dolę urningów. Przepisy prawne, któreby nakładały surową karę za gwałty, uwiedzenia nieletnich i za publiczne zgorszenie, wynikające z nieoględnie w obec osób trzecich podjętych stosunków homoseksualnych, byłyby jedynie sprawiedliwe, jako odpowiadające w zupełności wynikom dotychczasowych badań nad przyrodą uranizmu. Wówczas odpadłaby także i ta wielka trudność, jaką obecnie napotyka rzeczoznawca sądowy przy ocenie stanu umysłowego względnie poczytalności urninga, obwinionego bezwzględnie o homoseksualne obcowanie. Oczywiście stwierdzenie samego tylko popędu uranicznego u obwinionego wówczas o zgorszenie publiczne, zgwałcenie lub uwiedzenie nieletnich do stosunku homoseksualnego, nie byłoby zdolne wykluczyć u niego istnienia poczytalności. Osoba homoseksualna, któraby się przestępstw tych dopuściła a nie zdradzała wybitnej psychozy trwałej lub czasowej, zasługiwałaby wówczas, jak i obecnie na surową karę. Z drugiej zaś strony mieliby niewystępni homoseksualni to przeświadczenie, że tylko przez przyrodę a nie przez swych bliźnich są pokrzywdzeni.

O C E N Y.

O najnowszym słownictwie anatomicznem naszym.

(Ciąg dalszy)

„*Tuberculum*. Guzek“. Wyrazu tego dotąd słowniki języka polskiego nie znaly, dopiero wydawany teraz słownik Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego zapisał go poraz pierwszy. Wcześniej już spotkać się z nim można było u MS. i w Sł. Kr., ale u obu razem z nazwą powszechnie używaną „guzik“, którą też uważam za lepszą, tamta jest wyrobem sztucznym.

„*Tunica*. Odziedza“. Wyraz polski jest wyborny, zaczem należy się Krysińskiemu pochwała zasłużona za wydobycie go z zapomnienia i usiłowanie przywrócenia go mianownictwu anatomicznemu, jeno w użyciu go czasem poblądził, na co przy sposobności uwagę zwróćę.

„*Tunica propria*. Właściwka (Odzież właściwa)“, lepiej by może powiedzieć „własna“. Nazwa „właściwka“ wydaje mi się zbyt śmiałą i niestosowną, dla tego jej powodzenia nie rokuje — chociaż mylić się mogę.

„*Velum*. Żagiel“, po polsku poprawniej będzie „zastona“, takie jest bowiem pierwotne znaczenie wyrazu łacińskiego, pochodzącego od *velare* = zastaniać. Powrócimy jeszcze później do nazwy tej.

„*Vertex*. Szczyt“ i „*Vortex* Wir“. Autorowi naszemu, nie dość blisko obeznanemu z językiem Rzymian, zdawało się widocznie, a może i tak samo autorom niemieckim poprawnego słownictwa anatomicznego łac., że *vertex* i *vortex*, to dwa wyrazy różne zupełnie, gdy tymczasem jest to wyraz ten sam, jeno pisany na dwa sposoby. W języku każdym znajdują się takie; w łacinie np. *arbor* i *arbos*, *honor* i *honos*, *materia* i *materics*, *volnus* i *vulnus*, *sinapi* i *sinapis etc.*; w naszym znów: jamułka i jarumułka, jarzmianka i jarzmionka, kolebać i cholebać, książę i xiążę (podług pisowni dawnej), rozsocha i rosocha, pędzel i penzel i bardzo wiele innych jeszcze, które wszystkie, pomimo pisowni odmiennej, znaczeniem nie różnią się ani trochę. Tak samo rzecz jest i z wyrazami *vertex* i *vortex*, każde znaczenie należne jednemu przyznać i drugiemu trzeba. Że Krysińskiego nie posądzam tu niesłusznie, widać z części III pracy jego, gdzie się mieszczą objaśnienia nazw. Na str. 123 widzę tam: „*Vertex-icis*. m. [ἡ κορυφή]. Szczyt“, na 124 zaś czytam: „*Vortex-ticis* [verto = vorto-ti-sum-tere – kręcić, toczyć obracać, odwracać, przekładać]. Wir, miejsce zwrotu, skręcenia, skłębienie (ὁ στροβίλος) Wir“. Ponieważ Krysiński *verto* i *vorto* podaje za jedno słowo, więc gdyby mu dane było samemu wydać swe objaśnienia wyrazów, byłby połączył może obie odmianki. Może a może i nie?... tembardziej że w słownikach niektórych także je odłączają od siebie. O przynależności ich wzajemnej, czyli raczej o tożsamości ich zupełnej, poucza nas słynny uczony, mówca M. Fabius Quintilianus, żyjący w połowie drugiej wieku I po nar. Chr.; powiada on: *ut vertex est contorta aqua, inde, propter flexum capillorum, pars est summa capitis*“ (przytaczam podług HAH, 176, w dopisku Por. też. HOA, 603), co nas objaśnia, czemu szczyt głowy zwie się *vertex*, który to wyraz w mianownictwie anatomicznem naszym może być tlómaczony wyłącznie przez „ciemie“, bo tak się to zwało zawsze od niepamiętnych czasów i zwie do dziś dnia w mowie ogólnej — Co do *vertex* i *vortex* odwołuję się jeszcze do gramatyki łacińskiej Fr. Stolza i J. H. Schmalza w. J. von Müllera „Handbuch der klassischen Altertums-Wissenschaft“ wyd. II, Monachium 1890; tom II, str 238.

Str. 30. „*Sulcus infrapalpebralis*. Brózdka podpowiekowa“. Ponieważ, jak nas poucza Linde, przymiotnik, oznaczający przynależ-

ność do powieki brzmi „powieczny“, więc też trzeba mówić i pisać również „pod powieczny“.

„*Apex nasi*. Wierzchołek nosa“. Logika sprzeciwia się temu, żeby część. jakiej rzeczy nie sterczącą wysoko nad jej całością, nie będącą zatem częścią jej położoną najwyżej, nazywać wierzchołkiem lub szczytem, więc też nazwa ta jest tu najzupełniej błędna, poprawnie można tylko mówić, jak ogół nasz czyni, „koniec“ nosa. Ta sama uwaga dotyczy też końca języka, końca serca oraz innych nazw jeszcze. Jeżeli *apex* raz będziemy tłómaczyli przez „koniec“, albo „czubek“, kiedy indziej znów przez „wierzchołek“, to ucierpi wprawdzie na tem owa rzekoma ścisłość i jednolitość mianownictwa, o którą K r y s i ń s k i e m u tak bardzo chodzi, ale zyska na tem logika, ważniejsza przecie od takich błahostek, wymyślonych dowolnie. Nie zapominajmy o tem, że każda nazwa zawsze będzie trudniejsza do zrozumienia i spamiętania, im sprzeczniejsza będzie z logiką.

Str. 31. „*Sulcus nasolabialis*. Bró z d a n o s o w a r g o w a“. Przym. „w a r g o w y“, L i n d e m u jeszcze nie znany, etymologicznie jest stanowczo zły, jak tyle innych na *owy*, od rzeczowników r. ż., w czasach niezbyt dawnych urobionych. Gdyby w wieku XVI, lub wcześniej, kiedy poczucie właściwości języka nie stępiało było jeszcze pod wpływami cudzoziemskimi, uczuto potrzebę przymiotnika oznaczającego przynależność do wargi, niewątpliwie nadanoby mu postać „w a r g n y“ albo może „w a r ż n y“, nigdy zaś z pewnością największą „w a r g o w y“; więc też, jeżeli się dziś bez przymiotnika takiego obyć nie możemy, nie oglądajmyż się na jakieś tam prawidelka dowolne, język każące i uwłaczające mu, lecz twórzmy wyrazy z duchem i z zasadami jego zgodne, trzymając się zasad gramatyki oraz analogii, ale nie błędnej.

„*Philtrum*. R y n i e n k a p o d n o s o w a“. Co się tyczy nazwy łac., proszę przeczytać H O A. str. 405, gdzie o wyrazie tym greckim znajdują się objaśnienia obszerne. Według mego rozumienia, odpowiedniejszą byłaby nazwa polska: rowek albo dołek wargi górnej. Nawiasowo tu zaraz wspomnę, że dawniej od „nos“ tworzono przym. „nosny“, tak pisali Szymon z Łowicza i Syreński, ta też postać przymiotnika jest poprawniejsza, chociaż, ponieważ nos jest r. m. i „nosowy“ błędem nie będzie.

„*Cavum oris*. J a m a u s t“. Pomimo że do wyrazu „gęba“ przylega pospolitość pewna, możeby jednak nie wadziło użyć go w mianownictwie naszym zamiast nazwy złożonej „jama ust“. W słowniczku Murmeliusa (wyd. z r. 1528, str. 53) znajduje: „*Interior oris concavitas*. Gęba“. C n a p i u s pisze: „Gęba, gdzie zęby, język, usta“. U K r u p i ń s k i e g o czytam (*Splanchnologia* str. 336): „Usta czyli gęba niekiedy znaczy tylko szparę w poprzek idącą między nosem i podbródkiem.

niekiedy ową jamę, która się przy wargach zaczyna, i aż do pacierzy szyi idzie“. Widzimy więc, że już od bardzo dawna przyznawano „gębnie“ znaczenie=*cavum oris*. Przymiotnik poprawny od „gębny“ brzmi, jak świadczy Linde „gębny“.

„*Fauces*. Paszcza“. Nazwa ta, będąca germanizmem arcyszpetnym (*Rachen*), od dość dawna wprawdzie rozpowszechniona w mianownictwie anatomicznem naszym, powinna być koniecznie usunięta z niego, jako miano niedorzeczne, dla człowieka po prostu obelżywe, gdyż język nasz ogólny wyłącznie je stosuje do pyska zwierząt drapieżnych. Jeżeli spodobalo się Niemcom, użyć niewłaściwie tej nazwy, w ich języku potocznym mającej to samo znaczenie, co w naszym, dla przetłumaczenia łac. *fauces*, to już ich rzecz, która dla nas może być objętą zupełnie, małpować ich zaś bezmyślnie nie godzi się nam. W mowie potocznej naszej część ta ciała ludzkiego nazywała się dawniej zawsze i nazywa się po dziś dzień „gardłem“ i co prawda, nie wiedzieć dla czego mianownictwo anat. miałoby ją koniecznie nazywać inaczej, tem bardziej, że już w wieku XVI Marcin Urzędów, piszący polszczyznę wyborną, *fauces* tak nazywał. M. S. także nazwę „gardło“ za najwłaściwszą w tym razie uznaje. Przeciw niej chyba to jedno powiedziećby można, iż Szkoła krakowska co innego teraz mianem tem darzy (*pharynx*), mając w tym razie także ogół mówiących po swojej stronie, nie odróżniających *fauces* od *pharynx*. Ponieważ jednak w anatomji już od bardzo dawna dwie rzeczy te, przechodzące nieznacznie jedna w drugą, odróżniane bywają, więc nie wolno nam tej różnicy nazw usuwać, szczególnie że nie jest pozbawiona słusności. Musimy więc, jeżelibyśmy *fauces* nazywali „gardłem“, dla gardła w znaczeniu Szkoły krakowskiej znaleźć nazwę inną, o czem pomówi się później. Nie jesteśmy wszakże do tego zmuszeni, posiadając nazwę inną, odpowiednią bardzo i popartą powagą kilku wieków. W słown. Murmeliusa (str. 54) czytamy bowiem: „*Faux, superior pars gulae... ubi os augustatur*. Czeluść“. Wobec tego więc może właściwie byłoby nazwać *fauces* „czeluścią“, tembardziej, że nazwa ta, używana chwilowo w mianownictwie anatomicznem w znaczeniu innem, oddawna z niego znikła, a jest wyrazem polskim stokroć lepszym od germanizmu „paszcza“.

„*Mentum*. Bródka“. Lepiej zostać przy nazwie utartej „podbródek“, temwięcej, że w mowie potocznej nazywamy tak małą, ostro zakończoną brode, sam tylko podbródek zajmującą=*fr. barbiche*.

„*Oesophagus*. Przelyk“. Nazwa polska, przez Krysińskiego przyjęta, u nas w Warszawie jest rozpowszechniona; istnieje stosunkowo od niedawna, ani Linde, ani Sł. Wil. *) nie zna jej jeszcze.

*) Tak skracam napis Słownika jęz. pols., wydanego przez M. Orgelbranda. Wilno, 1861.

Szkoła krakowska, mająca w tym razie za sobą większość mówiących po polsku i powagę pisarzy dawnych, zwie *oesophagus* „gardzielem“. M. Siennik już pisze: „Tchawica jest rura w gardle chrząstkowa, jakoby z pierścionków... złożona, którą nic jedno dech idzie. Przeto tchawicą zowią, głupi zaś gardzielem, ale gardziel idzie podle tchawice, tamtym idzie picie i jedzenie“ (nie mając oryginału pod ręką, wypisuję to z M. S. str. 181). Tej nazwy używali też Kircheim, Krupiński i wielu innych. Lud nasz popelnia czasem błąd wytknięty przez Siennika i zwie nieraz tchawicę „gardzielem“. U Murmeliusa (str. 54) czytamy: „*Gula* Łakotá przez którą yedzenye y pyće ydzye“; wyrazu tego w tem znaczeniu Linde, ani M. S. nie znają, przytaczam go też jedynie, jako ciekawostkę, nie przemawiając bynajmniej za jego przyjęciem do mianownictwa, sądząc wszakże, iż wypadaloby porzucić sztuczny, choć gramatycznie dobry wyraz „przełyk“ i za przykładem Krakowa wrócić do „gardziela“. Na Mazowszu i w Wielkopolsce „gardziel“ ma r. ż. przeważnie, gdzieindziej męski, istnieją więc też w języku dwa przymiotniki: „gardzielny“ i „gardzielowy“, oba poprawne, kto jednak „gardzieli“ przyznaje r. ż. nie powinien używać przym. „gardzielowy“.

„*Thorax*. Tułów“. Chcąc nam narzucić nazwę tę w znaczeniu *thorax*, wbrew językowi naszemu, autor dopuszcza się samowoli, nie dając się usprawiedliwić niczem. Wszystko to, co nam mówi w części III (str. 105 - 107) w obronie swej, nie starczy, by mu przyznać słuszność. Jak tam sobie Grecy i Rzymianie zwali tę część ciała ludzkiego, może nam być obojętne, nam chodzi o nasz język, którego psuć się nie godzi przez narzucanie wyrazowi jakiemu znaczenia, którego mu ogół mówiących nie przyznawał nigdy i nie przyznaje dotąd. *Thorax* zwał się od dawien dawna „piersią“, nigdy zaś „tułowiem“. Już w najstarszym, drukowanym słowniku naszym Murmeliusa (pierwsze wyd. wyszło w r. 1526) czytamy: „*Torax* (tak!) *anterior pars trunci a collo usque ad stomachum*. Pyersy od ssiye àsz do pàsà“ (str 56 wyd. z r. 1528) — *Pectus* również tłómaczy przez „Pyersy“. A Calepinus ma *Thorax* Piersy... *A medicis, et rei anatomicae peritis dicitur pars corporis ab ipsis clavibus usque ad diaphragma, costis undique circumscripta, partesque vitales continens* — oprócz tego dodano, że wyraz ten po polsku znaczyć może jeszcze „kabat“ i „karaczina“ (tak!) — U Fontanusa widzę: „*Thorax*. K àbat, àlbo zbroià piersista. *ἄσπασ* — u Dasypodiusa „*Thorax*. Piersi. *Item*... K àftan, Pancerz, zbroyà. — Cnapius piersi tłómaczy przez *pectus* i *thorax*, tułów, tołw przez: *truncus corporis, truncus, truncum corpus* — Troc tłómaczy „tułów“ na: „Rumpf eines Körpers; ein Körper ohne Kopf,

Hände und Füße. Włodek *) mówi: „Tułów, ciało bez rąk y nog, tu lub mówią teraz nieysi“, podobnie Linde i słownikarze po nim idący. Mamy więc dowód oczywisty, że *thorax* po polsku nie może być „tułów“. Jeżeli Waga i Popławski popełnili ten sam błąd już wcześniej, to powoływanie się na nich nie usprawiedliwia bynajmniej Krysińskiego, ponieważ ani jeden ani drugi, gdy chodzi o rozstrzyganie spraw, język nasz obchodzących, nie są powagami, z którymi liczyćby się trzeba. — Krysiński biada nad wieloznacznością wyrazu „piersi“ i to jest widocznie powód główny, że go chce zamienić na „tułów“, ależ i ten ma przecież znaczenia rozmaite, może bowiem oznaczać też: „kożuch, futro całkowite, kaftan, kabat (Linde), więc nawet popełniwszy ten zamach na język nasz, nie uniknęlibyśmy jednak „wszelkiej dwuznaczności“, której się Krysiński ciągle obawia. Czy słusznie?—Czy obawa taka upoważnia nas do pastwienia się nad językiem? — Zdaje mi się, że jedna tylko odpowiedź na to dana być może: nigdy i pod żadnym pozorem.

Krysiński twierdzi, że „wieloznaczność danego wyrazu może być w mowie potocznej zupełnie nieszkodliwą, a nawet pożądaną w poezji, w naukach ścisłych jednak jest wprost niemożliwą, bo pierwszym warunkiem słownictwa naukowego jest, aby każda nazwa miała tylko jedno ściśle określone znaczenie“ (Cz. III, str. 106, kol. 2). Ponieważ mowa nie o naukach ścisłych, ale o anatomji, której, o ile wiem, nie zaliczano dotąd nigdy do nich, więc to, co ich słownictwo obowiązywać może, obchodzić nas tu nie powinno. Co się zaś tyczy twierdzenia drugiego, to mniemam, że nie to, co utrzymuje autor, jest pierwszym warunkiem dobroci słownictwa, ale jest nim zgodność z mową ogółu i z logiką; im więcej się od nich oddala, tem staje się gorsze, bo do zrozumienia trudniejsze. Wogóle raz to jeszcze powtórzyć muszę—Krysiński przywiązuje do mianownictwa znaczenie aż do ostatnich granic przesadzone, przypisując przytem właściwościom jego podrzędnym wagę główną. Czyni tak zupełnie, jak człowiek, któryby twierdził, że w poezji nie myśl, nie sama poezja, jeno rym jest rzeczą najgłówniejszą i do tego nierym, przemawiający do ucha, lecz do oka.

Każdy człowiek myślący zgodzi się bez wątpienia z Krysińskim na to, iż jest rzeczą bardzo pożądaną, żeby każda rzecz w anatomii miała tylko jedno miano ustalone, żeby tej samej kości, żyły, błony i t. p., nie nazywano inaczej w Warszawie, inaczej w Krakowie lub Poznaniu, nawet różnic najdrobniejszych unikaćby tu wypadało. Jeżeli

*) „Słownik polski dawny“ na końcu dzieła „O naukach wyzwolonych. Księgi dwie od X. Ignacego Włodka napisane“. Rzym 1780. Ilekroć przyjdzie mi jeszcze powoływać się na Słownik ten, przywoździć go będę w skróceniu Włodek.

do tego dojdziemy, jednolitość mianownictwa naszego będzie przez to osiągnięta, chociażbyśmy zaniechali zupełnie odróżniań, zalecanych przez anatomów niemieckich, przez Krysińskiego tak skwapliwie naśladowanych. Żeby nazwy anatomiczne rozumieć należy, trzeba znać anatomię; bez tej znajomości miano każde, chociażby najdowcipniej, nawet najlogiczniej i z zasadami języka zgodnie wymyślone lub dobrane, będzie ostatecznie zawsze tylko dźwiękiem pustym, niczem więcej. Tworząc mianownictwo jakiegokolwiek, lub poprawiając już istniejące, starajmy się zawsze być w zgodzie z językiem i z logiką, to warunek pierwszy i jedyny, wszystkie inne są zbyteczne.

Po zboczeniu tem, wracam znów do „tułowia“, który jako jednoznacznik „kafłuba“, przez ogół za taki uznany, nie może być użyty w znaczeniu *thorax*, któremu zachować, należy, w braku lepszej, nazwę „klatka piersiowa“, a raczej „piersna“, pomimo, że jest to właściwie germanizm, naśladowający niem. *Brustkorb*. Co się tyczy przymiotników, to rozumie się, że dziwolągów takich, jak „klatkopiersiowy“, „klatkopięsiogrzebietowy“ i t. p., ani tworzyć, ani używać bezwarunkowo nie wypada. Dla tego, kto zna anatomję przym. „piersny“ będzie zrozumiałą zawsze, czy odnosić się będzie do *thorax*, czy do *pectus*, a kto jej nie zna, temu zrozumiałość jej mowy niepotrzebna, jeżeliby zaś zapragnął zawrzeć z nią znajomość, to tem łatwiej wyuczy się jej i pojmie ją snadniej, im mniej odbiegać będzie od mowy potocznej.

„*Mamma*. Sutka“ (tak!). Wyraz „sutek“ spotykamy u Mączyńskiego, za nim powtarza go Linde, obok niego zjawia się też „sutka“ w Sł. Wil., dokąd wyraz ten przekreślony dostał się prawdopodobnie za pośrednictwem L. Natanson'a, posługującego się nim już wcześniej w Anatomii swej (Warszawa, 1858). Później nie jeden lekarz warszawski, nawet dobrze po polsku nieraz piszący, błąd ten powtarzał, Krysiński był gorliwym jego obrońcą i krzewicielem. W części III, między objaśnieniami nazw, napróżnoby było szukać powodów, skłaniających go do tak upartego trzymania się błędu oczywistego, a to pewno dla tego, że śmierć nie dozwoliła mu wykończyć tej części ostatniej pracy, więc też brak w niej rzeczy różnych. Przypadkowo dowiedziałem się już dawniej, dla czego upiera się przy zakończeniu żeńskim wyrazu tego. Będzie temu lat ośm, czy dziesięć, zasiadaliśmy wtedy razem w komitecie wysadzonym przez Towarzystwo lek. warsz., a mającym za zadanie opracowanie uwag nad Sł. Kr., oraz zebranie dopełnień do niego. Na jednym z posiedzeń naszych zażądał, żeby w słowniku rzezonym „sutek“ poprawiono (tak!) na „sutka“, a gdy mu ze słownikiem Lindego w rękę chciałem dowieść, że jest w błędzie, przekonać się nie dał, twierdząc, że ponieważ *mamma* jest rzeczą niewieścią, więc raczej rodzaju żeńskiego niż męskiego powinna być „sut-

ka". Wedle tej dziwnej logiki należałoby łac. *cunnius* przerobić na *cunna*, a *mentula* na *mentulus*, wątpię jednak, żeby kto znający łacinę zgodzić się mógł na poprawki takie, więc i my obstawać musimy przy nazwie „sutek“; rzecz. zdrobniały brzmiećby też musiał nie, jak chce Krysiński „suteczka“, lecz „suteczek“. Przym. „sutkowy“ i „suteczkowy“ w razie takim będą też znośne.

„*Scrobiculus cordis*. Dołyszek (Dofek podsercowy)“. Hyrtl twierdzi wprawdzie, że nazwa ta w anatomii nie jest potrzebna (HAH 259, por. też HO A. 470), ale co nas to obchodzi? tego rodzaju pytania niech anatomowie między sobą rozstrzygają, nam idzie o co innego, Nazwę nawiasem objętą, chociaż dotąd używaną, możnaby, jak sędzę, wykreślić zupełnie, bo nie jest wcale dobra, za to „dołyszkowski“ należy się poklask najszerszy. Przyznać trzeba, że pomysł wprowadzenia miana tego do mianownictwa anatomicznego jest świetny. Wyróż sam przez się jest szczeropolski, gramatycznie doskonały, a jako nazwa ludowa na oznaczenie rzeczy, raczej w pojęciach ludu, niż w anatomji istniejącej, niezrównanie trafnie wybrany. Dowodzi nam to, że Krysiński miewał chwile szczęśliwe, w których, gdy nie krępował się więzami własnowolnie narzuconemi samemu sobie, umiał nieraz wynajdywać miana bardzo dobre i odpowiednie; zdarzało mu się to niejednokrotnie. Tembardziej więc żałować wypada, że z takim uporem trzymał się pierwowzoru swego, nie zasługującego na to zgoła.

„*Mons pubis*. Pagórek łonowy“, zwailiśmy dotąd wszystkie „wzgórkiem“, możnaby więc i nadal przy nim pozostać, ale to wszystko jedno. Przym. „łonowy“ jest zdaje się wynalazkiem Krupińskiego, jak tyle innych, równie wadliwych; Linde go nie mieszcza, Sł. Wil. także nie zna go jeszcze; chociaż M. S. go już zalecają i dziś jest używany powszechnie w mowie lekarskiej, poprawniej byłoby mówić „łonny“.

Str. 32. „*Plica axillaris*. Fałda pachowa“. Wolalbym „przegub paszny“. O niestosowności wyrazu „fałda“ już pisał leń powyżej, co się tyczy przym. „pachowy“, to mógłby pochodzić tylko od rzecz. r. m. „pach“ (=zapach, woń); od „pacha“ go tworzyć nie wypada, chociaż uczynili to już Krupiński i Ryszkowski, a M. S. godzą się na to nawet. Ani Linde ani Sł. Wil. nie mieszcza w sobie przym. „pachowy“, mają za to „podpaszny“, co nam właśnie wskazuje, że mówić należy też „paszny“.

„*Acromion*. Wyrostek barkowy“.—„*Brachium*. Ramię“.—„*Antibrachium*. Przedramię“.—„*Manus*. Ręka“.—Jeżeli gdzie, to w mianach anatomicznych części ciała wymienionych właśnie, panuje pewien zamęt pojęć, zależący od tego głównie, że urabiać nazw anatomicznych naszych, zaczynając od Kircheima, a kończąc na Noiszewskim i Krysińskim, zwykle zbyt małą uwagę zwracali na

język sam, rządząc się raczej względami innymi, albo naśladowając, nieraz bezmyślnie, łacinę lub częściej jeszcze niemczyznę. Prawda, że i słownikarze nasi nie zawsze jednakowo odróżniają części wymienione, ponieważ i w mowie potocznej, a co za tem idzie i w piśmie, różnice między nazwami ich zacierają się niejednokrotnie.

Podług nawyku dziś powszechnego w mianownictwie anat. tłómaczymy *humerus* przez „bark“, *brachium* przez „ramię“, *antibrachium* przez „przedramię“ i *manus* przez „ręka“. Ale czy słusznie? — Sądzę że niezupełnie. Porównałem starannie między sobą Słowniki Murmeliusa, Calepina, Dasypodiusa, Cnapiusa, Troca, Lindego i wileński, jako też dla ustalenia znaczenia nazw łacińskich radziłem się Forcelliniego, oraz posilkowałem się Hyrtlem (H O A. str. 34, 168, 253, 335, 439 i 581) i doszedłem do wniosków następujących: I. Że już u Greków i Rzymian panowała niepewność niejaka w mianowaniu części rzeczonych, głównie u poetów, ale i w prozie. II. Że mianownictwo nasze dawniejsze, zarówno jak nowe Krysińskiego, mało się tu od niego różniące, posługują się nazwami, którym poprawności przyznać nie można, pomimo że grammatycznie są dobre. *Humerus*, (niem. *Schulter*, fr. *épaule*) zwać się powinien „ramię“, nazywanie go „barkiem“ jest stanowczo błędne, więc i *acromion*, zwaćby należało „wyróstką ramienia“ — Łac. *brachium* i gr. *βραχιον* odpowiadają najzupełniej nazwie naszej „bark“, t. j. oznaczają pierwotnie i głównie cały członek górny, od palców do łopatki. Oprócz tego mogły mieć nieraz jeszcze znaczenie późniejszego barbaryzmu *antibrachium*, czasami też nazywano po łac. *brachium* górną część „barku“ od łokcia do stawu ramiennego; Vesal nazwę tę w anatomji ustalił, więc idąc za przykładem jego, możemy używać tu miana „bark“, który logicznie mógłby się nazywać także „podramieniem“ lub „przedramieniem“, tak samo, jak kość jego po łac. nazwano *os humeri*, ponieważ końcem górnym, czyli głowicą dotyka ramienia (*humerus*). Nie przemawiam jednak bynajmniej za przyjęciem tych nazw. To, co nazywamy dziś „przedramieniem“, lepiejby nazywać było „przedbarkiem“ albo „przedbarkiem“, jak nasi anatomowie dawniejsi z końca wieku XVIII i z początku XIX czynili. W wieku XVI *antibrachium* nazywano u nas powszechnie „łokciem“ lub „łoktem“. — „Ręka“ posiadała dawniej, i posiada w mowie potocznej dziś nawet jeszcze, znaczenie obszerniejsze, niżeli jej przyznaje mianownictwo anatomiczne nasze, jest bowiem także równoznacznikiem „barku“, może zatem oznaczać całość członka od dłoni do stawu ramiennego. Takie samo znaczenie mieć może i łac. *manus*.

Nie żeby namawiać do porzucenia mian dziś używanych, spisałem uwagi powyższe, lecz w celu wyświeślenia znaczenia najwłaściwszego

nazw tych, bez potrzeby wyraźniej przeinaczonego. Miana dotychczasowe mają tę zaletę, że pod względem gramatycznym są poprawne, zakorzeniły się nadto od dość dawna w mowie anatomicznej, przeszły nawet z niej do języka potocznego, więc o usunięciu ich myśleć trudno, nie wadzi atoli mieć świadomość tego, że za poprawne zupełnie uchodzić nie powinny. O łokciu i o kościach przedramienia później jeszcze powiem słów kilka, tu na zakończenie zauważę tylko jeszcze, że przym. „ramieniowy“, jako wadliwy, ustąpić powinien stanowczo przed poprawnym „ramienny“, podanym przez Cnapiusa.

„*Ilypothenar*. Kłębik.“ Przypuściwszy, że Krysiński gr. *Thenar* dobrze przełożył na „kłęb“, chociaż jest to w rzeczywistości tłumaczenie niem. *Ballen* (por. HOA. str. 541), to jednak trudno byłoby zgodzić się na „kłębik“, ponieważ, jak świadczą Słowniki, rzeczownik zdrobniały od „kłęb“ może brzmieć tylko „kłębek“.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

Dr. med. Józef Peszke.

S Sterling. Sposoby przepisywania leków in praxi pauperum. Łódź 1900. Str. 96. Wydawnictwo Czasopisma lekarskiego.

Czasopismo lekarskie, pomimo że drugi rok dopiero istnieje, rzetelne już oddało usługi ubogiej naszej literaturze lekarskiej, wydając w krótkim przeciągu czasu znakomitą pracę prof. Mendelsohna „Pielęgnowanie chorych“, świeżo zaś wymienioną w nagłówku książeczkę. Nieulega wątpliwości, że znaczna liczba chorych unika pomocy lekarskiej z tej głównie przyczyny, iż nie jest w możności kupić sobie zaleconego lekarstwa z powodu zbyt wysokiej ceny; żale tej treści aż nadto dobrze znane są wszystkim nam; wszelkie przeto usiłowania, zdążające do uprzystępnienia ceny leków dla niezamożnych, zasługują na jak największe uznanie; wdzięczni też powinni być koledze P. Sterlingowi tak lekarze jak i szerokie warstwy biedaków za zebranie w jedną całość praktycznych wskazówek, jak sobie radzić należy, by niezamożny pacjent mógł sobie nabyć w aptece lek za najtańszą cenę.

Leżąca przed nami książeczka przedstawia właściwie pracę zbiorową, w której udział, prócz kol. Sterlinga, wzięli prowizor T. Tugenhold i kol. S. Sikorski, przytem jest to praca kompilacyjna, wzorowana na podręcznikach Dresdner'a, Dronke'go, K. Landau'a, O. Liebreich'a i S. Rabow'a. Treść podręcznika rozpada się na następujące działy: A. Część farmaceutyczną i B. Część terapeutyczną; z nich właściwie tylko pierwsza odpowiada ściśle nagłówkowi, podaje bowiem wyczerpujące wskazówki, jak należy przepisywać leki, by cena ich ostateczna wypadła jak naj-
le-

piej. Na szczególne zaznaczenia zasługują tu uwagi wstępne, które powinny kierować krokami każdego lekarza w jego działalności praktycznej. Przechodząc do szczegółów zaznaczę, że niezrozumiałą jest dla mnie tabliczka na str. 2—3 umieszczona; jaki jest jej cel i dlaczego zawiera takie np. przetwory, jak aqua destil, aq. foeniculi, a. menthae crispae et piperitae, rosarum lub empl. Meliloti, inf. althaeae, rozmaite syropy, olejki, ziółka lub maści, gdy natomiast pominięto leki niezaprzeczonej wartości, z tego zdać sobie sprawy nie umiem. Nie rozumiem również, dlaczego, doradzając zastąpienie naparów względnie odwarów wyciągami płynnymi (str. 6) autor pominał dawkowanie wyciągów. Należało również dać wskazówki, w jaki sposób najpraktyczniej nasmarowywać plastry.

Drobne te usterki bynajmniej nie zmniejszają wartości zawartych w tym rozdziale wskazówek, których znajomość każdemu lekarzowi oddać może rzetelne korzyści. Zwracając się do części terapeutycznej, wyznam szczerze, że nie rozumiem w jakim właściwie celu autor ją umieścił. By nie być gołosłownym, przytaczam treść rzeczy zawartych na str. 15 do 93. A więc mamy tu: środki ugrupowane podług ich działania leczniczego; (pominięto: tanningenum tannalbinum dermatolum, oxycamphora, coffeinum, folia betulae albae, diuretinum, methylum salicylicum, bromipinum, jodipinum, trionalum, jodomylum, zaś wśród przeciwnilnych: wyskok, sodę i cały szereg nowszych leków); dalej odtrutki (pominięto: pompkę żółdkową, odtrutkę Fuch'sa, nadmanganian potażu przy otruciu makowcem i jego pochodniami) i w dalszym ciągu środki lekarskie w porządku alfabetycznym ułożone; roztwory leków do użytku zewnętrznego, jako to: do płókań jamy ustnej, gardzieli, nosa; do wziewań i do przemywania pochwy i pęcherza; do przemywania ran. Dalej idą ławatywy, okłady; wodolecznictwo, kąpiele lekarskie; (nie podano sposobów przyrządzania kąpieli igliwiowych, glinianych, torfowych, któremi w praktyce biednej z korzyścią można zastąpić t. z. Moor bady); — wskazówki z zakresu kuchni dyetetycznej jakoto: potrawy podług dyet; farmakodynamiczne działanie potraw (wszak: inf. rad. valerianae, inf. bac, juniperi, menthae piperitae, succus taraxaci, lichen islandicus i. t. d. (str. 68, 9 i 70) chyba do *potraw* nie należą; mleko zaś bodaj że stanowi jeden z najdzielniejszych pokarmów, krew odtwarzających); — wreszcie przygotowanie ziółek leczniczych. W końcu mamy i dodatek, obejmujący wykaz chorób z krótkimi wskazówkami terapeutycznymi, wreszcie tablice, zawierające przeciętny skład środków pokarmowych. Jak widzimy treść bardzo obfita i o wiele przewyższająca właściwe zadanie książeczki, przyobiecane w tytule. Ta to właśnie obfitość stanowi jednocześnie i wadę, albowiem czyni z pracy kol. Sterlinga coś w rodzaju Compendium Vademecum lekarza, pospolicie nazwę Eselbrücke noszącego; a tych mamy aż nadto w corok wydawanych rocznikach lekarskich. Jeden atoli rozdział wart jest szczeremu uznaniu; mam na myśli wskazówki z zakresu kuchni dyetetycznej, której znajomość jest

dziś wprost niezbędna. W końcu zaznaczyć winienem, że trifolium fibrinum nazywa się po polsku bobrek trójlistny; 2) że niesłusznie pominięto liście brzozy białej; są one w praktyce biednej nieocenionym środkiem moczopędnym, który w połączeniu z kofeiną lub naparstnicą w zupełności może nieraz zastąpić drogą diuretykę oraz 3) że śmiało można było opuścić takie leki, jak bratki, empl. melilothi, ruta graveolens, equisetum i t. p. wątpliwą lub żadnej wartości leczniczej nie posiadające.

Fr. Grodecki.

Z PAMIĘTNIKÓW PROF. SZOKALSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Członkami stałymi tego Towarzystwa mieli być lekarze obu narodowości, stale zamieszkali w Paryżu, przybranymi — wszyscy cudzoziemcy do Paryża przybywający. Z początku nie rozumiano dobrze mej myśli, bo niełatwą jest rzeczą pojąć to, co się rzeczywiście dzieje obecnie w każdym instynktowym, czy to naukowym, czy politycznym ruchu,—ja też nie dbałem o to, ale krótko i węzłowato ogłosiłem w niemieckich politycznych i naukowych gazetach, że otwiera się w Paryżu stowarzyszenie lekarzy niemieckich, w celu zjednoczenia naukowego młodzieży, przybywającej do stolicy Francji; kto chce w niem mieć udział, ma się zgłosić do mnie do mego mieszkania. Propozycja ta została wszędzie jaknajlepiej przyjętą, i zbliżony byłem odtąd z cudzoziemcami, gdyż oprócz Niemców i wielu innych zażądało udziału. Posiedzenia odbywaliśmy raz na tydzień w moim mieszkaniu, a gdy ilość uczestników do tego wzmogła się stopnia, że ich trudno było pomieścić, najęliśmy sobie osobne pomieszkanie obok Szkoły lekarskiej i osadzili tam służbę, tak iż to stanowiło pewien rodzaj klubu, a na posiedzenia nasze wieczorne Dziekan szkoły medycznej Orfila na moją prośbę przeznaczył nam jedną ze sal fakultetu.

Przez lat cztery przewodniczyłem zebraniom, w których wszystko, co się działo w Niemczech, odbijało się echem, a działo się wiele, gdyż z jednej strony Rokitanski i Skoda, a z drugiej Köliker i Virchow zaczęli wychodzić na scenę, a z organicznej komórki Schwana jaskrawe zaczęło bić światło. Na nieszczęście z pomiędzy francuzów bardzo mało garnęło się do nas, bo francuzka zarozumiałość nie pozwalała im nawet przypuszczać, ażeby w Niemczech mogło coś samoistnie powstać i rozwijać się. Mniemali, że owe mikroskopowe drobiazgi to chyba tylko ciekawe zabawki, bo też w owych czasach

w Paryżu drobnowidz tak niską odgrywał rolę, że jeden tylko w fakultecie istniał wykład Anatomii mikroskopowej przez Denn'a—i to tak nędzny, że dla samego honoru Francji nie śmiałem o nim głośno na naszych posiedzeniach wspominać.

Od początku zaraz naszego istnienia mieliśmy w gronie naszym Karola Vogta, Strohmayera i kilku bardzo odznaczających się przyrodników i lekarzy. Później przystąpił Graefe, syn sławnego chirurga, który w kilka lat potem wyrósł na znakomitego reformatora okulistyki w Berlinie. Ruch w naszym gronie był znakomity, ciekawe wykłady sypały się jak z rękawa, a ponieważ co rano członkowie rozsypywali się po różnych szpitalach, co wieczór wiedzieliśmy zatem w klubie o wszystkim, gdzie co się działo. Ja przemawiałem bardzo często, i z powodu tego zdarzyła mi się rzecz nieprzyjemna później, która mnie mocno dotknęła. Na jednym z naszych posiedzeń był profesor Volkmann z Dorpatu; otóż, chcąc uczcić obecność znakomitego fizjologa, wypowiedziałem moje zapatrywanie się na władzę naszą oryentowania się w przestrzeni, którą do poczucia ruchu ciała naszego, a głównie oczów odniosłem. Chodziło mi przeważnie o to: na mocy jakiego mechanizmu przychodzimy do rozeznania kierunków w przestrzeni, odległości, długości linii, ich kierunku, co to jest i na czym polega okomiar itp. Było to wówczas zupełną nowością; uczucie ruchów oka oraz kierunków ustalonego spojrzenia uznawało się tym sposobem jako niesłychanie ważne uzupełnienie teorii widzenia. Obsypano mnie podziękowaniami za mój wykład, z którego opublikowaniem nie spieszyłem się bardzo, mając jeszcze uzupełnić niektóre poszukiwania. Ogłoszenie drukiem tej mojej pracy nastąpiło dopiero w rok później w *Archiv für physiologische Heilkunde*, ale niebawem dowiedziałem się, że o tym samym przedmiocie napisał już Volkmann, nie wspomniawszy nic o mnie, i ogłosił swą pracę przedemną, tak że wyszedłem znów na plagiatora, zdobiącego się w cudze pióra. *Sic vos non nobis* przypomniałem znowu sobie i postanowiłem na przyszłość trzymać lepiej język za zębami.

* * *

W trzy lata po moim synu urodziła mi się córka.

* * *

Zdarzyło się w tych czasach, że Kuczyński, ów malarz, co to broszki malował, został przez dobrze mu znaną rodzinę de Gémau z pod Dijon upoważniony do umówienia się z jakim okulistą w Paryżu, iżby ten pojechał w okolice Dijon w celu operowania katarakty staremu ich krewnemu.

Udał się więc do mnie, a ja z chęcią się tego podjąłem. Wziąłem więc pasport i puściłem się dyliżansem do Dijon, gdzie na mnie miał czekać dr. Grabowski, lekarz w Gémeau miejscowy. Stałem na miej-

scu rano, i czekała już na mnie cała polska w Dijon kolonia ze wspólnym śniadaniem. Doktor Grabowski bardzo mi się podobał; średniego wzrostu, dobrze zbudowany, grzeczny i ruchliwy, bardzo się sympatycznie przedstawiał i okazywał w całym swym postępowaniu, że był bardzo z lepszym towarzystwem obyty. Obszerna wioska Gémeau była odwieczną siedzibą panów Gémeau, do których podążaliśmy teraz. Majętność należała do młodej wdowy z dwiema córkami, a jej stryj mający być właśnie operowanym i mieszkający w osobnym zameczku z córką, miał oprócz niej syna, wówczas podpułkownika, z którym się później bliżej poznałem. Stryj de Gémeau nie był bogaty, ale dom jego bardzo był dostatnio urządzony, zaś córka Teresa, już niemłoda panna, trudniąca się domem, nieładna, ale bardzo miła, grała bardzo ładnie na harfie. Otóż to w takim otoczeniu miałem przez dwa tygodnie pozostać, gdyż żądano odemnie, ażebym przez ten przeciąg czasu przy moim operowanym przebywał. Operacja powiodła się wybornie, a to nas wszystkich w wesoły humor wprawiło, i odtąd żyliśmy wpośród samych zabaw, obiadków i wycieczek w sąsiedztwo. Wszedłem tu w świat zupełnie nowy — francuskiej szlachty, a wyznać muszę, że mi się ona bardzo podobała, i pomimo wszelkich dawnych uprzedzeń przekonałem się dowodnie, że jest to jedyna klasa ludzi we Francji, z którą my Polacy szczerze i serdecznie sympatyzować możemy.

* * *

Czas dwutygodniowy spędzony między legitymistami, których ten zakątek Burgundyi był siedliskiem, przeszedł mi bardzo mile. Ludzie, żyjący dla idei, są wielce różni od tych, którzy dla pieniędzy żyją; i chociażby się ich przekonań nie podzielało, ma się zawsze dla nich szacunek. Szlachta a mieszczaństwo francuskie to są dwa oddzielne światy, i do zjednoczenia ich ze sobą pomimo narodowej wspólności niezmiernie dużo brakuje. Przekonawszy chorego i jego otoczenie, że dobrze widzi, rozstaliśmy się, bardzo ze siebie zadowoleni, a tytułem honorarium wręczono mi 1,000 franków, co w owym czasie stanowiło dosyć pokaźną sumę.

* * *

Po powrocie do domu spotkała mnie niespodzianka. Ojciec panny von H., niestety zadowolony z leczenia jego córki — doszliśmy do tego, że przez 15 miesięcy żadnego nie miała ataku — był przekonany, że zupełnie już była wyleczoną i przyjechał ją zabrać do domu. Ostrzeżliśmy go, że był w błędzie, ale nie naszą rzeczą było upierać się przy tem, ażeby dłużej została. Stary obsypał mnie podziękowaniami i dał mi 2,000 franków gratyfikacyi, do czego wcale nie był obowiązany. Odrazu więc wpadło kilka tysięcy franków do mojej kieszeni,

co niesłychanie na mój humor wpłynęło. Pomimo tego jednakże Paryż ze swym wiecznym gwarem i brudem wydawał mi się nieznośnym, i wówczas już zaczęła we mnie myśl świtać, żeby się wyrwać z tej złoconej, a w gruncie cuchnącej, klatki i zdala od jej wszelkich wielkości świeżem życiem odetchnąć.

Żona moja na samą myśl o tem aż podskoczyła z radości, lecz pòsmutniała zaraz, uważając ją za niepodobieństwo.

W owym czasie kilka sióstr miłosierdzia przyjechało do Paryża i to było powodem, że księżna Czartoryska postanowiła założyć dom przytulku dla starców i dzieci, na co też i reszta dam polskich z chęcią się zgodziła. Najęto więc posiadłość na przedmieściu za ogrodem botanicznym, urządzono ją tymczasem jedynie na przyjęcie dzieci, a ja znów zostałem lekarzem zakładu.

C. d. n.

POLEMIKA.

O nasz byt.

Redakcyi „Krytyki lekarskiej“ replika.

Miło mi nader, zaznaczyć na wstępie to muszę, no i... zaszczytnie zarazem z samą Redakcją wdać się w rozprawy. Dzięki Ci tedy, Sz. Panie Redaktorze, za kącik w Twem piśmie myśli mej, choć pono lichej, łaskawie udzielony. Licha bo może i licha, zawszeć kiełkuje tam coś, co w mózgu wylęgłe, a i w sercu odczute łatwo dostrzedz się daje... i bez szkła powiększającego.

Owóż zastrzeżenie, przez Szan. Oponentkę uczynione, jakoby godzić się nie miała z treścią mego pisma, niejako z prawdą zdaje się mijać, jeżeli zważyć jego motywy, nie usprawiedliwione tendencją ani osnową mojego zapatrywania.

Ani na chwilę bowiem nie pozwoliłem sobie mniemać, iżby lekarz wieśniak nie mógł zdobyć wziętości (jeśli o nią jedynie chodzi?) w mieście, przeciwnie, sam to nawet dosadnie dosyć zaznaczyłem, zarówno warszawianin wśród kmiecia. Ani na chwilę też nie ośmieliłem się twierdzić i żądać, aby jednostka wszelka, niby łańcuchem do swej ziemi przykuta, działać jeno musiała lub była zdolna w tem środowisku, w innem zaś nie. Iluż istotnie mieliśmy i mamy poza granicami kraju pionierów, którzy na obczyźnie też potrafią być chlubą swoich ziomków i niespo-

żyte sprawie narodowej niekiedy oddawać usługi; iluż zdolnych, sprytnych i utalentowanych włościan wybija się w mieście!

Nie chodziło mi bynajmniej li o utylitarną stronę sprawy, jak to Szan. Redakcyi podoba się czynić; brałem ją z punktu etyczno-społecznego, nie zapoznając też praktycznych względów.

Któżby zresztą o tem wątpił, że powołanie pełnąć nas może w tę lub inną krajnę, gdzie z jednakiem, a może i większym pożytkiem pracować możemy, wskazać nam gwiazdę naszą już to na tym, już to na innym nieba horyzoncie!

Pytam wszelako, któż bo snadniej potrafi śród siermiężnej działać braci i z pomyslniejszym skutkiem ją, np. oświecać: z miasta profesor czy nauczyciel wiejski? Kto jej duchem bliższy? Zaliż nie ten, kto zdolen w łonie swem silnie odczuć spójnię z duszą tego ludu, co swoją krew wlał w pierś jego matki? Zaliż nie ten, komu miła sercu ta „czarna krwawica, własna jego ziemia-rodzica“?

Biadamy nad rozpaczliwym, niewątpliwie, stanem młodych lekarzy, z nadmiaru ich w mieście jakoby wypływać mającym, wysilamy się nad zaradzeniem wiszącej nad kolegami naszymi nieomal kłęsce głodowej, wyszukaliśmy nawet sposób, niestety półśrodek tylko, w postaci licznych, tu i owdzie po prowincyi rozsianych posterunków, dotąd stojących odłogiem, no i któż winien się poczuwać do obowiązku objęcia takowych, kogo należałoby gorąco do tego zachęcać? Kto mógłby zdolniejszym okazać się na tych wolnych placówkach, kto wreszcie prędzej zdola wszelkie zwalczyć przeszkody, gęsto spiętrzone na drodze światłej, doniosłej, pełnej poświęceń, a i przykrych niestety zawodów, działalności lekarskiej? Wszak nie ten, co nigdy nie miał sposobności przyjrzeć się życiu mass, co płynął po fali wód, nie zbadawszy ani poznawszy ich głębi!

Aczkolwiek zwłaszcza z końcowego ustępu pisma mego widocznem było, w jakim kierunku rozwija się myśl moja, do czego zmierzałem, pozwolę sobie powtórzyć: znaczna część młodych lekarzy, z prowincyi pochodząca, skłonna w pierwszych jeszcze czasach mirażami zaprzętać sobie umysł i w przeważnej mierze dla tej przyczyny pozostająca nadal w Warszawie, miasto przymierać z niedostatku, nie znalazłszy w niej odpowiedniego punktu oparcia, winnaby pierwsza zaciągnąć się w szeregi nader nielicznej garstki ludzi inteligentnych, krzątających się śród ludu, a dzięki znajomości jego duszy oraz swemu posłannictwu, w krótszym od innych bądźcobądź czasie oraz kosztem mniejszych ofiar zdola sobie zyskać jego zaufanie i zdobyć dobroczynny nań wpływ, tak bardzo pożądanym, a tak bardzo jeszcze odeń daleki — wpływ kultury...

Nie zapominajmy, że największą siłą narodu i dźwignią cywilizacyi jest zdrowie i oświata ludu.

Nie idzie bynajmniej jeszcze zatem, bym miał śladem innych całej spolem młodzieży lekarskiej tę oto wytyczną wskazywać i zalecać, jako niezawodne panaceum, mające sprawę ich niedoli rozwiązać i uzdrowić. Sprawa to więcej zawila i zaiste powinnaby bardziej leżeć na sercu starszyźnie naszej, mniej natomiast budzić w nich lekceważenia i całkiem nie- niepojętej u niektórych chęci strofowania.

Wszakże młodzi lekarze upominają się u społeczeństwa swojego, do którego obsługi są powołani jako stróże jego zdrowia, jeno o prawo bytu narówni z innymi stanami, mniej na szczęście uprzywilejowanymi; czynić im przeto z tej racji wyrzuty, a tem bardziej urządzać pod ich adresem cierpkie wycieczki nikomu, zwłaszcza lekarzowi nie przystoi. Pociski, niedawno z tych szpalt wymierzone, a tchnące napuszoną pre- tensjonalnością trójnogu, godzą w ich piersi wcale niesprawiedliwie, a płynąć muszą z nieświadomości ogólnego położenia.

Obecny stan rzeczy jest wysoce krytyczny, a jako taki wymaga poważnej energicznej interwencji; co do tego spornych kwestyj być nie może.

Ogół młodzieży zamierzającej zawodowi lekarskiemu się poświęcić zewsząd ściąga, nazbyt może tłumnie, do Warszawy dla jej specjalnej uczelni. Przystudyowawszy wszystko, co jej dać może ta wszechnica, młody aspirant do zawodu lekarskiego, do takiego stopnia uważa swe wykształcenie zawodowe, mimo dyplom zdobyty, za niekompletne, nie starczące dla wcielenia jego w prost w życie, tak mało czuje się na dnie sumienia upoważnionym do rozpoczęcia samoistnej na tem polu działal- ności, iż wprzód widzi się zmuszonym ze skądinąd podziwu godnem za- parciem siebie, bo częstokroć o głodzie i chłodzie uzupełniać je rok, dwa w klinikach i szpitalach, byle w końcu godnie sprostać tak wyjąt- kowo odpowiedzialnemu stanowisku społecznemu. I gdybyż tylko ogół chciał w to wejrzeć, ile ci ludzie z wrzekomo uprzywilejowanem sta- nowiskiem znosić muszą niedostatków, ile zaznać przykrych i bole- snych upokorzeń dla braku jedynie środków i to po kilkunastoletniej w jednym kierunku pracy, by zostać jednym z najniezbędniejszych członków społeczeństwa, niewątpliwie podzieliłby przekonanie moje o konieczności dopomożenia pod jakąbądź formą tym ludziom, aby wytrwać mogli w swych szczytnych dążeniach. Potem dopiero nastaje ciężka i niezbyt przyjemna chwila oderwania się od zbyt ponętnych dla wielu względów warunków życia w Warszawie, ile że każdy zdołał się w nie w tym okresie wdrożyć, znaleźć dla siebie intelektualne ognisko i żyć z niem, gdy teraz przychodzi mu je poświęcić dla nierównie mniej powabnych — na wsi. I radby tę właśnie chwilę, o ile można przedłużyć, zwłóczyć; ociąga się i czeka, a z wyjazdem ciągle się nie kwapi.

Zresztą taka emigracya choćby wielu bardzo jednostek nie wyczer- pałaby całkowicie sprawy bytu wszystkich młodych lekarzy; zło tkwi

głębiej. Dążyć tedy muszą w obecnej chwili zwartą falangą i ze zdwojoną energią do wywalczenia sobie egzystencji, conajmniej nie gorszej od tejsze innych socyalnych jednostek, nawet na niższych szczeblach postawionych.

Boć przyzna każdy, zdobyć tytuł uprzywilejowany i ciągnąć zeń, niestety, długie bardzo lata tak błahe i nikłe korzyści i mieć przywilej jeden... być tytułowanym, a drugi... chodzenia bez butów, trochę to za bolesny i dotkliwy cios dla człowieczego serca i godności ludzkiej.

A medycyna, jako zawód, rządzi się względem swych adeptów tyrańskiem, rzekłbym, prawem, zgoła od innych odmiennem: każe ona sobie i tylko sobie niewolniczo służyć; otwiera im jedyne wrota, źródło czystej nauki i żąda, by jeno w jej winnicy pracować, czego w innych nie dostrzega się zawodach: tam się znajdzie wiele bram i wiele furtek... i to wielu ratuje od pewnej nędzy.

Ztąd ta wyjątkowość, może, położenia, ztąd niemoc mnóstwa lekarzy wobec istnienia niezaprzeczenie w społeczeństwie naszym wysoce niezdrowych stosunków. Tej w wysokim stopniu anormalności niektórzy nijak się nie dopatrują, otóż prosiłbym ich tylko o wskazanie mi drugiego podobnegoż zawodu, w którymby jednostka wykwalifikowana, w zaraniu karyery swej, nie mając długo jeszcze co w usta włożyć, zmuszona była składać na ołtarzu publicznym ofiarę z jedyne go swojego sposobu zarobkowania, jedyne go źródła utrzymania. Brać ofiarę dla jednego biedaka, z gardła wydartą drugiemu, czyliż szlachetną jest rzeczą? Ciężko też grzeszy społeczeństwo, posiłkując się w podobny sposób wymuszonymi ofiarami.

Z prawdziwem poważaniem

Stanisław Elwicz.

Sprostowania.

- W numerze 7-ym: str. 205 w. 14 od góry zamiast „jak by“—czyt. „jakiby“
„ 206 „ 4 „ dołu „ „St“—czyt. „Sł.“
„ 207 „ 9 „ dołu po wyrazie „zarzutu“ dodać należy „w tym razie“
„ 209 „ 9 „ góry po wyrazie „znajdują“ dodać „się“
„ 210 „ 20 „ dołu zam. σρόμα, czyt. σρόμα.

W sprawach, dotyczących prenumeraty, ekspedycyi i w ogóle administracyi pisma, proszę odnosić się pod adresem: *ulica Wilcza Nr- 12, W-na Dr. Stanisława Popławskiego.*

Redaktor i Wydawca *Zygmunt Kramsztyk, Nowo-Senatorska 8.*

Довн, Цена. — Варшава, 14 Июля 1900 г.

Druk. Wł. Lazarskiego, Daniłowiczowska 6.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Antoniny Piaseckiej ↗

↖ *i Zofii Roszkowskiej*

ul. Krakowskie-Przedmieście № 38

POLECA

wykwalifikowane dozorcynie dla chorych.

Z uszanowaniem

Antonina Piasecka

i Zofia Roszkowska



Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnąc w Kalendarzu Informacyjno-Encyklopedycznym na rok 1600, wydawanym na dochód Pogotowia ratunkowego, dać jaknajścisłejsze informacye i adresy, Zarząd Towarzystwa uprasza za łaskawem pośrednictwem Szanownego Pana, p. p. lekarzy i dentystów o łaskawe nadsyłanie w ciągu m. Sierpnia dokładnych adresów do Kancelaryi Towarzystwa (Leszno 25). Zarząd ma nadzieję, że w ten sposób uzyska adresy dokładne i zupełne, co leży i w interesie osób powyżej wymienionych.

Uprasząc Szanownego Pana Redaktora o łaskawe umieszczenie odezwy powyższej, łączę wyrazy szacunku.

Członek Zarządu—Sekretarz:

Józef Zarwadzki.



„GŁOS”

Tygodnik Naukowo-Literacki Społeczny i Polityczny.

© Warszawa, Złota 26.



Zadaniem pisma jest: 1-sze Omawianie ze stanowiska niezależnego spraw bieżących, aktualnych. 2-gie Podnoszenie umysłowej i etycznej kultury społeczeństwa.— „Głos” zamieszcza: 1) Artykuły wstępne, przeglądy, kroniki i korespondencje w sprawach bieżących, społecznych ekonomicznych, politycznych i literackich; 2) Powieści nowele i poezje 3

„Przewodnik Naukowy i Etyczny”

który zawiera: 1) Artykuły ogólne **w kwestjach naukowych**, filozoficznych, społecznych i wychowawczych; 2) Artykuły **w sprawach etycznych**, sprawozdania o ruchu etycznym za granicą; 3) Przeglądy i kroniki **współczesnego ruchu naukowego**; 4) Artykuły, poświęcone **sprawom samokształcenia**.

Co miesiąc Dodatek Bezpłatny.

W Dodatkach miesięcznych pomieszczone są: 1) Rozprawy, dotyczące **Zagadnień doby bieżącej**; 2) Streszczenie **nowych większych dzieł** wybitnej wartości. W Dodatkach w r. b. między innymi ukazały się następujące prace: *A. Wagner*, Na czym polega myślenie naukowe. *Carus*, Zagadnienie moralności. *Münsterberg*, Nauka i życie; o Mistycyzmie; *Ziegler*, Wiara i wiedza. *Cordes*, Psychologiczne podstawy samokształcenia. *Stumpf*, Idea Rozwoju.

Prenumerata: W Warszawie rocznie rb. 7, kwartalnie rb. 1,75; miesięcznie kop. 60. Z przesyłką pocztową, rocznie rb. 9, kwartalnie rb. 2,25.

Adres: Warszawa, Złota 26.

◆ Numer okazowy na żądanie bezpłatnie franco. ◆